Czy w podziemiach pod Azovstal koło Mariupola „kryją się przed wojną” cywile, kobiety i dzieci. I oficerowie NATO. I dlaczego

Azovstal jest to ogromny kompleks przemysłowy, sfera hut, fabryki stali i wyrobów ze stali typu wojskowego, która mieści się poza Mariupolem. Jest tu podobieństwo do położenia Nowej Huty – poza Krakowem. Oczywiście Azovstal jest wielokrotnie większy od budowanych w latach 50 hut, nazwanych potem Nową Hutą, ale zasady planowania i budowy całości są podobne. Od wielu lat sam Azovstal jest własnością prywatną; formalnie można znaleźć że jest to firma międzynarodowa z siedzibą w Holandii, ale w rzeczywistości, według wiarygodnych plotek, jest to własność oligarchy – przepraszam, ale wczesnego bękarta któregoś z poprzednich prezydentów Ukrainy. [*mail: Rinat Achmetow; obiecuje, że odbuduje na swój koszt cały Mariampol (bo taka jest stara nazwa tego miasta), ma poza tym fabryki i kopalnie w Donbasie. Syn Kuczmy*]

Ponieważ same huty i stalownie planowane i budowane „za sojuza” fabryki w Azovstalu pracują, tj. pracowały dla wojska, to wczasach [uzasadnionej] obawy przed atakami jądrowymi, pod całym Azovstal i okolicą zaplanowano i zbudowano sieć, podobno sześciu kondygnacji pancernych bunkrów połączonych korytarzami w ten sposób, że w razie przerwania kontaktu z powierzchnią

ziemi, na przykład po ataku jądrowym możliwe byłoby utrzymanie tam przy życiu i zdolności bojowej wielu tysięcy żołnierzy. Liczba ta szacowana jest na ponad 30000 ludzi. Są tam oczywiście również szpitale, kuchnie, ogromne zapasy nie tylko różnych rodzajów paliwa, ale również ogromne ilości jedzenia, woda dostarczana z studni głębinowych. Natomiast kłopot jest z dostarczaniem czystego powietrza; przewidziane również w swoim czasie [później unowocześnione] filtry powietrza wychodzą, część z nich daleko poza samym obszarem Azovstalu tak, by można było uzyskiwać czyste powietrze do przeżycia tych dziesiątków tysięcy ludzi.

Porównajmy: Nowa Huta była zbudowana na – wcześniej budowanych – bunkrach atomowych. Były i są dalej połączone między sobą ogromną ilością korytarzy i tuneli. Prawdą są opowieści robotników pracujących w Nowej Hucie, że gdy weszli do takich podziemi w jakiejś dzielnicy Nowej Huty, to po paru godzinach mogli wyjść i wychodzili w zupełnie innej dzielnicy. Te dane [sprawdzałem ostatnio] przez kręgi związane z Gazetą Wyborczą są ignorowane, a nawet obśmiewane [czemu??], jednak rzeczywiste świadectwa ludzi są nie do podważenia. Kto obecnie ma plany podziemnych bunkrów i tuneli pod Nową Hutą, nie wiem. Na pewno mają jakieś organizacje wojskowe.

Kto ma plany bunkrów podziemi i wszelkich połączeń pod miasteczkiem fabryk, głównie wojskowych, zwanym Azovstal, też nie wiemy, ale z całą pewnością takie plany, czy też te, według których było to budowane czy później rozbudowywane, musiały być w rękach oficerów GRU. Przy rozpadzie Związku Sowieckiego w 1989 ta część GRU, która pozostawała na terenach Rosji, z całą pewnością takie plany miała.

Mówię to w związku z tym, że obecnie siły pułków Azow [to są te pułki które zostały przez wiele państw uznane za grupy terrorystyczne, zwane przez świadomych a nieżyczliwych „bojówkarzami”, OUN itp], które okupują podziemia Azovstalu, otóż grupy te mają połączenia ze światem zewnętrznym przy pomocy nie tylko internetu, telewizji, ale również zespołu

podziemnych tuneli. Wychodzą one, ukryte, w różnych miejscach czy to pól czy lasków wokół Mariupola, a także w samym Mariupolu. Dlaczego tylko część z tych tuneli jest znana atakującym siłom rosyjskim nie wiem, ale z całą pewnością jest potwierdzone, że na niektóre wyjścia z tych tuneli atakujący, to znaczy strona rosyjska natykali się przypadkowo. Nie mogli tam wejść, więc pompowali wodę by, jak sądzili, zalać podziemia. Podobno również rzucano tam gaz usypiający czy jakiś inny gaz działający na organizm ludzki, ale skończyło się to niepowodzeniem, ponieważ od wewnątrz zamknięto pancerne bramy tego właśnie tunelu do bunkrów i dalej ani woda ani te gazy dalej się do środka nie przedostały. [Por. filmik na końcu]

Jest dla nas zagadką, dlaczego te plany, które z całą pewnością ma GRU w Rosji – nie są używane do – na przykład masowego wejścia wszystkimi wejściami do tuneli równocześnie lub do puszczenia wszystkimi tymi wyjściami do środka jakiegoś materiału szkodzącego, na przykład właśnie wody czy gazu usypiającego. Bunkry to nie są tak zwane „schrony przeciwatomowe”, oczywiście i tę rolę one miały pełnić, ale z całą pewnością oparły się również potwornym wielotonowym bombom burzącym, np. FAB3000 [projektowane jeszcze w latach 30-tych zeszłego wieku, ulepszane i zbudowane ok. 1950-go], które zostały spuszczone na przypuszczalne miejsca znajdowania się tych bunkrów przez lotnictwo rosyjskie w ostatnich tygodniach. Wojskowi rosyjscy martwią się, że nie mieli samolotów zdolnych do transportu bomb FAB 9000. Brrr…

Muszę dodać, że według oficerów, którzy znali te plany, że same bunkry są „dowcipnie” umieszczone, na przykład pod jakimś budynkiem wiejskim albo pod przedszkolem, żeby wiadomo było że uderzenie bomby w takie przedszkole – no to z przyczyn humanitarnych jest właściwie wykluczone czy ciężko uzasadnialne.

Przejdźmy do aktualnej sytuacji bojowej wokół Azovstal-i. W tych wielopiętrowych bunkrach i podziemiach pod miasteczkiem

przemysłowym podobno kryje się rzędu 1000 bojowników z pułków Azow i „doradców”. Otoczeni przez wojska rosyjskie z wszystkich stron, jedyny kontakt ze światem zewnętrznym mają może przez jakieś pozostawione jeszcze tajne tunele, ale jest to wątpliwe. Natomiast komunikują się swobodnie przy pomocy internetu [Jak to możliwe???]. Dlaczego strona rosyjska nie spowodowała totalnego zagłuszania tych jednostek bojowych w Azovstali, nie rozumiemy.

Parę dni temu pełniący obowiązki ich dowódcy w dramatycznym wystąpieniu zażądał od prezydenta Ukrainy Żełenskiego natychmiastowej interwencji, pomocy wojskowej. Żełenski odpowiedział w telewizji i radio, że wojska ukraińskie są w minimalnej odległości 120 km od Azovstali, więc interweniować nie mogą i nie będą mogły. Cała przestrzeń powietrzna wschodnich obszarów Ukrainy jest jednoznacznie pod kontrolą sił rosyjskich, więc jakiekolwiek desanty czy zrzucanie broni czy żywności są też wykluczone.

Putin, chyba jako rzecznik sztabu generalnego armii rosyjskiej, parę dni temu powtórzył – włożony w jego usta rozkaz sztabu, by wstrzymać operację bojowe przeciwko resztkom pułków Azow, ale w ten sposób, by – jak się wyraził – i mucha stamtąd swobodnie nie odleciała. Trochę zapewne przesadził, bo pojedynczy żołnierze przez któryś z tych nierozpoznanych jeszcze tuneli wyjściowych uciekali, ale zostali złapani. Wszyscy???

Natomiast od paru dni tak przy pomocy ulotek, jak i przy pomocy radia czy też megafonów, siły przebywające w bunkrach pod Azovstal są informowane, że mogą spokojnie wyjść, będą mieli zachowane życie, jeśli wyjdą z białą szmatą czyli poddadzą się. Ponieważ dowodzący tymi siłami Azow powtarza dramatyczne wołanie, że mogą się utrzymać najwyżej parę dni, to cóż prostszego byłoby dać kije z białymi szmatami, na początek wszystkim cywilom, kobietom czy dzieciom, żeby ci cywile mogli wyjść [jeśli oni tam rzeczywiście są, to do podziemi zostali zabrani].

Боевики «Азова» опубликовали видео с женщинами и детьми.

Fakt że od kilku dni nie wypuszczono żadnych cywilów, płaczących kobiet z dziećmi przy piersi, spod ziemi, spod gruzu fabryk, świadczy, że ci cywile, te kobiety są tam przetrzymywani jako zakładnicy.

Według danych wywiadów w pułapce pod Azovstalą znajduje się również co najmniej kilkudziesięciu oficerów państw zachodnich, NATO, przypuszczalnie również oficerów polskich, którzy przedtem doradzali w wojnie przeciwko Rosji. Dla państw NATO to byłoby z kolei kompromitujące, gdyby ci oficerowie dostali się jako jeńcy w ręce armii rosyjskiej. Musieliby wtedy zeznawać o swoich zupełnie przecież nielegalnych działaniach w wojnie na Ukrainie. Czy zostaną oni tam wymordowani, jako kompromitujący, a jako katów ogłosi się wojska rosyjskie?

A ruskom na wymianę się też przydadzą, nie tylko do zeznań…

Spośród tych około 1000 bojowników czy żołnierzy ukraińskich, prywatnych pułków Azow i podobnych ugrupowań, fanatykami, którzy wolą tam zginąć, niż iść w niewolę do Rosjan, jest zapewne tylko kilku, może najwyżej kilkunastu dowódców. Cała reszta tych nieszczęsnych chłopców jest więc również zakładnikami jakiejś obłędnej ideologii. Oczekujemy z niepokojem jak ta sytuacja zostanie w najbliższych dniach rozwiązana, bo nie widać, najprawdopodobniej nie ma możliwości, żeby obecna sytuacja trwała dłużej niż kilka dni.

Kompleks Azovstal 160 hektarów, ale 24 km obwodu. Miasto pod miastem; sześć poziomów, dawny schron przeciw–atomowy dla 40 000 ludzi. ***Modyfikowany od 2014 przez speców z NATO.*** *Własna komunikacja podziemna itd.*

Źródło: Bibuła

Czy mamy tyranię idiotów? Rozmowa z Januszem Szewczakiem, autorem książki „Idiotokracja, czyli zmowa głupców”

Rola głupoty w polityce jest powszechnie niedoceniana. Spiski oczywiście są ważne, ale nie da się ukryć, że wiele zła na świecie to owoc głupoty, współpracy głupoty ze złem, albo wykorzystywania przez zło głupoty jako narzędzia destrukcji.

W głupocie przodują pseudo liberałowie i lewica. Non stop niszczą oni wolny rynek, podwyższają podatki, wprowadzają kolejne szkodliwe przepisy, marnują publiczne pieniądze, choć w konsekwencji ludzie żyją w nędzy i nie ma środków na potrzebne inwestycje takie jak wodociągi czy kanalizacje.

Przez ostatnie dwa lata walka z rzekomymi skutkami jedzenia nietoperzy była istnym festiwalem głupoty. Kneblowano ludzi, choć nie chroniło to przed chorobami i tylko pogarszało stan zdrowia. Wstrzykiwano ludziom nieprzebadane preparaty, choć skutki tego są gorsze od samej choroby. Niszczono absurdalnymi

zakazami gospodarkę, choć nie było ku temu żadnych racjonalnych przesłanek.

Pseudo liberałowie i lewica nawet negują fakty biologiczne, wmawiając nam, że kobiety mają siusiaki. Pod hasłem rzekomej katastrofy klimatycznej niszczy się przemysł, skazuje się ludzi na życie w nędzy, i przy okazji wspiera się rosyjski imperializm.

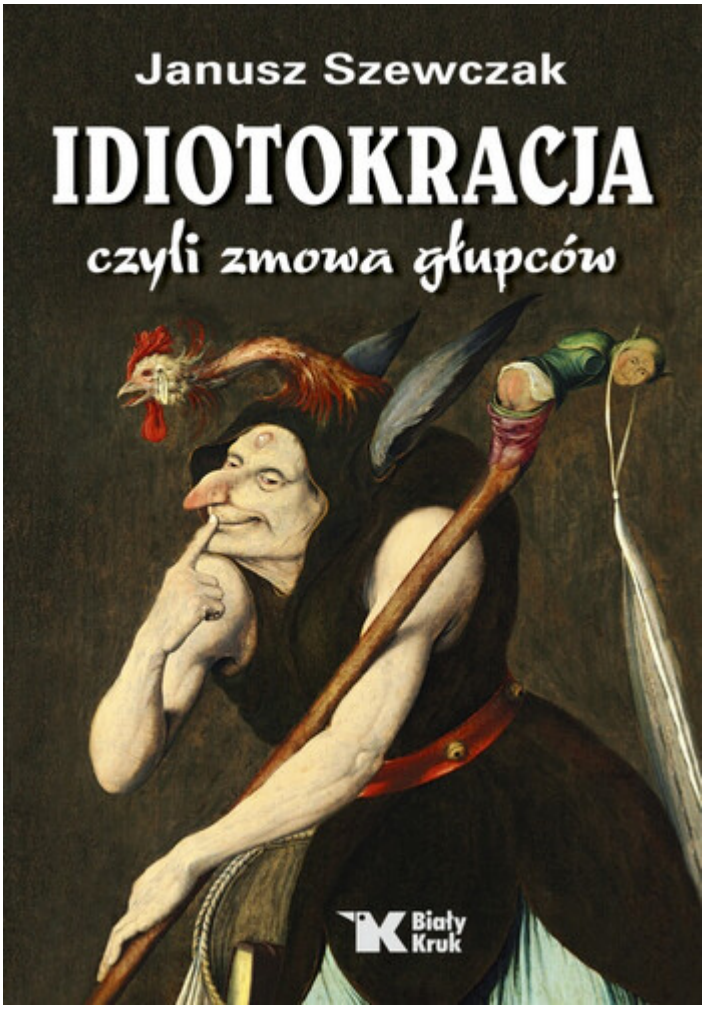

Problem tyranii głupoty został poruszony (w wydanej przez wydawnictwo Biały Kruk) pracy Janusza Szewczaka „Idiotokracja”. Według wydawcy pracy z książki Janusza Szewczaka można się dowiedzieć, że „głupcy zawsze istnieli, niektórzy z nich sięgali nawet po władzę, ale nigdy jeszcze w dziejach świata ród ludzki nie miał do czynienia z prawdziwą inwazją głupoty. Zjawisko to stało się bardzo groźne, albowiem objęło niektóre kręgi władzy. Powstały fałszywe elity składające się w całości z durniów i dewiantów różnej maści,

którzy trzymają się razem, wspierają i rządzą lub choćby próbują rządzić. Nic dziwnego, że Autor książki, znany zresztą z bystrej inteligencji i ciętego języka, dopatrzył się we współczesnym świecie zjawiska, które nazwał idiotokracją. Jest to ciężka choroba całej cywilizacji zachodniej, od USA po Ukrainę, od północnego kręgu polarnego po Australię. Miejmy nadzieję, że nie okaże się, iż mamy do czynienia z chorobą śmiertelną. W każdym razie zjawisko idiotokracji przybrało rozmiary zarazy, a jego wirus masowo rozprzestrzenia się za pomocą Internetu, tzw. serwisów społecznościowych i innych środków globalnego przekazu i komunikowania się. Wspomagają go różne utopijne doktryny lansowane nie tylko przez pseudonaukowców, lecz również polityków, którzy są gotowi zawracać świat ku pogaństwu – w imię postępu oczywiście".

Przeciwdziałać tyrani głupoty można przez „rozum i mądrość, zdrowy rozsądek, uczciwość i moralność. Bez powrotu do Boga, twierdzi zarówno Janusz Szewczak, jak i wiele cytowanych przez niego prawdziwych autorytetów, świat się nie wyleczy; bez Boga nasza cywilizacja, zakorzeniona tak głęboko w chrześcijaństwie, zginie. Jednymi z najlepszych narzędzi terapeutycznych są mądre książki"

Na portalu „Forum akademickie" Jadwiga Michalczyk w artykule „Pobudka do posługi myślenia" stwierdziła, że Janusz Szewczak w swej książce opisał „problem terroru nowoczesnej głupoty ukrytej czasem pod szyldem mądrości". Zdaniem recenzentki autor „Idiotokracji" obdarzony jest „zmysłem dostrzegania absurdów i ich słownego unaoczniania, daje jasny przekaz zagrożenia tryumfem głupoty nad mądrością, co jest podstawowym wyróżnikiem stanu nazywanego przez niego idiotokracją. Swoją refleksyjną narrację przedstawia w ośmiu rozdziałach, poprzedzonych tematycznym wprowadzeniem i zamkniętych bibliografią".

W opinii recenzentki książkę Janusza Szewczaka w kolejnych rozdziałach „krok po kroku inspirują czytelnika do krytycznego myślenia, oceny i wartościowania".

Recenzentka przytoczyła w swojej recenzji słowa autora książki, który stwierdził, że „Co z tego, że mamy coraz więcej na świecie naukowców, profesorów, doktorów i uczonych wszelkiej maści o coraz węższej specjalizacji, że kształcimy coraz więcej ludzi, gdy coraz mniej jest pośród nich osób prawdziwie mądrych, ideowych, zwyczajnie dobrych, odważnych i skromnych. […] Bogaci sponsorzy i wpływowe lobby wynoszą na szczyty każdego, posłusznego i pożytecznego głupca czy złotoustego oszusta, gdy tylko im się to opłaci. Ci zaś skutecznie odzwyczajają zwykłych śmiertelników od wszelkiego wysiłku myślowego”.

Cytowany przez recenzentkę Janusz Szewczak w „Idiotokracji” stwierdza, że „kryzys nauczania jest dziś ewidentny i ma […] ogromny wpływ na skalę panoszącej się ludzkiej głupoty, kryzysu moralnego i intelektualnego czy wreszcie hipokryzję świata nauki”.

Według recenzentki przyczynę patologii polegającej na tym, że „przy tak wysokim poziomie rozwoju społecznego spotykamy się z głupotą niemal na każdym kroku, autor widzi w” powszechnej laicyzacji – „społeczeństwo bez religii, bez hierarchicznego systemu wartości, bez zobowiązań etycznych – traci swe żywotne siły”.

Źródło: wPrawo

Czeka nas nowa unia

Tym razem było inaczej, niż zwykle. Bo zwykle podczas świąt, wszystko jedno – Bożego Narodzenia, czy wielkanocnych, nasz nieszczęśliwy kraj pogrąża się w nirwanie. Tym razem tak nie było, bo zimny ruski czekista, zbrodniarz wojenny Putin, co prawda dopiero w drugi dzień świąt, rozpoczął ofensywę na wschodzie Ukrainy. Walki toczą się na prawie 500-kilometrowyn froncie, ale niezależne media głównego nurtu, powtarzając informacje wytwarzane przez stronę ukraińską, nie podają żadnych szczegółów, co skłania do podejrzeń, że inicjatywa leży po stronie Rosjan. Dodatkową poszlaką są gorzkie słowa, jakie strona ukraińska i prezydent Zełeński osobiście kieruje pod adresem niemieckiego kanclerza, że – odwrotnie niż Polska – nie chce rezygnować z rosyjskiego gazu i ropy, a w dodatku opieszale traktuje obowiązek dostarczania na Ukrainę broni. Tymczasem kilka dni przed świętami pewien kremlowski dygnitarz oświadczył, że Rosja wszystkie konwoje z bronią będzie traktowała jako „*legalne cele wojskowe*”. Jeśli tak by było rzeczywiście, to wojna mogłaby zakończyć się wcześniej, niż przewiduje amerykański sekretarz stanu Antoni Blinken, według którego zakończy się ona w Sylwestra 2022 roku. Ostatnim dniem 2022 roku jest bowiem Sywester, który rzeczywiście może być dla Putina datą ważną, bo właśnie wtedy, w roku 1999, prezydent Jelcyn oświadczył w telewizji: „*ja uchażu w odstawku*”, a nowym prezydentem Rosji został właśnie Putin, który na tamtym etapie nie tylko nie był jeszcze zbrodniarzem wojennym, ale nawet miał duszę, którą swoim przenikliwym wzrokiem dostrzegł w nim prezydent George Bush. Na razie w komunikatach dominują zapewnienia strony ukraińskiej, że będzie walczyła do końca.

Tymczasem tuż przed świętami wydarzył się incydent, który dla

rządu „*dobrej zmiany*” może nosić nawet charakter aktu sprawiedliwości dziejowej. Oto drogą ekspresową jechał samochód prowadzony przez pana Zdziennickiego, małżonka pani Małgorzaty Gersdorf, o której stanowisko I prezesa Sądu Najwyższego toczyły się takie boje na wstępnym etapie walki o praworządność w naszym bantustanie. Otóż w pewnym momencie, jadący z lewej strony samochodu wiozącego małżonków motocyklista uderzył w barierkę, ginąc na miejscu, podczas gdy jego motocykl siłą rozpędu ślizgał się po jezdni i nawet wyprzedził samochód małżonków. Widać to było na nagraniu, które zrobił jadący z tyłu samochód ciężarowy. Tymczasem małżonkowie się nie zatrzymali, tylko pojechali, jakby nigdy nic – ale policja na podstawie nagrania zidentyfikowała ich samochód. Od tej chwili przed panią Małgorzatą Gersdorf zaczęły piętrzyć się kłopoty oraz – jak to nazwała – „*szykany*” – co skrupulatnie odnotowywały niezależne media rządowe, dzięki czemu nawet Donald Tusk, który jest tam regularnie pokazywany jako drugi po Putinie wróg publiczny, zszedł na plan dalszy. Jednak rozpoczęta na Ukrainie ofensywa zepchnęła na dalszy plan również i tę sprawę, być może również dlatego, że z nirwany wyrwała ona również zwolenników i politycznych przyjaciół pani Małgorzaty Gersdorf, którzy rozpoczęli pracować nad korzystniejszą dla małżonków wersją wydarzenia. Podobnie bez większego rezonansu przeszedł rozłam w Judenracie „*Gazety Wyborczej*”, który został ujawniony za sprawą Konstantego Geberta, co to podstępnie chciał na łamach „*Gazety*” zamieścić oskarżenie, jakoby ukraiński pułk „*Azow*” składał się z „*nazistów*”. Judenrat przekonywał pana Geberta, żeby użyć określenia „*skrajna prawica*”, ale taka propozycja oburzyła pana Geberta do tego stopnia, że pożegnał się z „*Gazetą Wyborczą*” na dobre. Ten incydent jednak niósł ze sobą potężny dysonans poznawczy, bo z jednej strony taki rozłam w Judenracie był dla niezależnych mediów rządowych prawdziwym darem Niebios, ale z drugiej spostrzeżenie pana Geberta o „*nazistowskim*” charakterze pułku „*Azow*” dokładnie pokrywało się z oskarżeniami zbrodniarza wojennego Putina, który jako pozór moralnego uzasadnienia inwazji na Ukrainę podaje

potrzebę przeprowadzenia „*denazyfikacji*” tego kraju.

Tymczasem 13 kwietnia odbyła się w Mikołajkach debata na temat unii Polski z Ukrainą. Debata ta była pokłosiem Europejskiego Kongresu Samorządów, organizowanego przez Ośrodek Studiów Wschodnich. Uczestniczyli tam panowie: Władysław Kosiniak-Kamysz, pobożny poseł Jarosław Gowin, Wielce Czcigodny poseł Maciej Gdula, z porządnej, bezpieczniackich rodziny i Czesław Bielecki. Moderatorem debaty był Jan Maria Rokita, z tołstojowską brodą niemal do pasa. Dyskutanci zgodzili się, że nie ma rady, tylko trzeba przeprowadzić unię Polski z Ukrainą, to znaczy – przyłączyć Polskę do Ukrainy. Jak powiedział prezydent Zełeński, taka Ukrai… – to znaczy, pardon – oczywiście taka unia liczyłaby 80 milionów mieszkańców, czyli tyle samo, co Niemcy. Zresztą – jak zauważył Czesław Bielecki – nieważne, jak by się taki twór polityczny nazywał, bo najważniejsze jest sprawne przeprowadzenie procesu integracji. Myślę, że około 3 milionów uchodźców z Ukrainy, nie licząc co najmniej półtora miliona Ukraińców, którzy do Polski przybyli wcześniej, do sprawnej integracji z pewnością się przyczyni, a kto nie będzie chciał się integrować, albo nawet będzie się integrował, tylko opieszale, to zostanie odpowiednio podkręcony. W ten sposób, jeśli Ukraina utraciłaby swoje wschodnie, uprzemysłowione okręgi – o czym oczywiście nie może być mowy – to dzięki unii z Polską zyskałaby odpowiednią rekompensatę terytorialną, a Polska – jak to już wcześniej, w niepojętym przypływie szczerości zauważył rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pan Łukasz Jasina – stałaby się „*sługą narodu ukraińskiego*” i to nie incydentalnie, pod pretekstem wojny, ale może już na zawsze. Trzeba tylko zapłacić i odsiedzieć, to znaczy – jak zauważył Władysław Kosiniak-Kamysz – tylko napisać przyszłą historię naszych dwóch narodów, bo „*emocje zostały zastąpione propolskim etosem*”. Tak samo mówi pani Weronika Marczuk – że mianowicie Ukraińcy się w Polsce „*zakochali*”. Skoro tak, to nie ma co czekać, tylko starą historię unieważnić i zabrać się do napisania nowej. Oczywiście nie wylewajmy dziecka z kąpielą i

nie unieważniajmy całej dotychczasowej historii. Na przykład – powstanie w Getcie Warszawskim. Akurat 19 kwietnia przypadła kolejna rocznica, a z tej racji wszyscy patrioci, obok wstążeczki w barwach ukraińskich z jednej strony, pozakładali sobie z drugiej strony wycięty z żółtego papieru wizerunek żonkila. W tej sytuacji na polską flagę miejsca już nie starczyło, ale w takim zestawie potrzebna ona jak psu piąta noga. Wstążeczka po jednej stronie, a żonkil po drugiej w przyszłej unii wystarczą, bo po co rozdrapywać stare rany?

Stanisław Michalkiewicz

Rozdawnictwo władzy na pełnym gazie. „Goście” mogą ubiegać się o 12 tys. na dziecko

Nieudolna władza, przez którą Polacy płacą w sklepach coraz więcej nie bardzo się tym, przejmuje. Priorytetem dla nich stali się teraz „goście” z Ukrainy którym przyznawane są uprawnienia do świadczeń socjalnych jakby, byli polskimi obywatelami.

Tym razem pisowski rząd postanowił przyznać uprawnienie „gościom” z Ukrainy do ubiegania się o kwotę 12.000 zł z programu **Rodzinny Kapitał Opiekuńczy, jaki** z założenia ma **na celu poprawić jakość życia polskich rodzin.** Czy zatem „goście”

stali się już polskimi obywatelami?

ZUS do jakiego „goście” nie wpłacili ani jednej złotówki poinformował w wydanym oświadczeniu, że będzie przyznawał rodzinny kapitał opiekuńczy obywatelom Ukrainy, którzy „przybyli” do Polski po 23 lutego 2022 r. w związku z „działaniami wojennymi”.

Z założenia ustawy program ten przewiduje zasiłek na drugie i kolejne dziecko w rodzinie w wieku od 12. do 35. miesiąca życia i ma dotyczyć obywatela Polski. Wysokość świadczenia wynosi 12.000,00 zł, jakie pochodzą z pieniędzy podatnika.

Kwoty tej nie można otrzymać jednorazowo. Można natomiast wybrać, czy chce się dostawać po 500 zł przez 24 miesiące, czy po 1000 zł przez rok. Zatem przyznanie „gościom” uprawnienia do tego programu daje odpowiedź, że władza już przewiduje ich „gościnę” w Polsce przez okres jednego roku. Niestety za tą „gościnę” zapłacą Polacy.

Z przepisów wynika, że do złożenia wniosku o RKO niezbędny jest polski numer PESEL rodzica jak i dziecka, na które wnioskuje o świadczenie, adres e-mail, polski numer telefonu, a także numer rachunku bankowego w Polsce.

Uprawnienie do świadczenia nabywa się od miesiąca złożenia wniosku.

ZUS zaznaczył, że uchodźcy z Ukrainy, którzy uzyskali numer PESEL UKR w marcu 2022 r., nie muszą się martwić składając wniosek o rodzinny kapitał opiekuńczy w kwietniu, że świadczenie za marzec im przepadnie. Zakład przyzna im świadczenia również za marzec, czyli od miesiąca uzyskania numeru PESEL UKR.

Rodzinny kapitał opiekuńczy, jak i świadczenie z programu „Rodzinna 500 plus”, przysługują uchodźcom w tym okresie, kiedy przebywają z dziećmi w Polsce.

W ostatnich dniach „goście” z terenów, na jakich nigdy nie występowały działania militarne, postanowili spędzić święta ze swoimi rodzinami na Ukrainie. Spowodowało to masowe wyjazdy i wojna nie była im już tak straszna. Jednak po świętach z pewnością znów będą bali się wojny i z uwagi na przychylność pisowskiego rządu ponownie będą chcieli się tu osiedlić i otrzymać prawa do socjalu, jaki finansuje im polski podatnik.

Oszustwo związane z bronią jądrową

Przez wiele lat mówiono nam, że broń jądrowa jest gromadzona przez różne kraje supermocarstwa. Wszyscy byliśmy narażeni na paradygmat, który promuje ideę, że broń nuklearna uczyniła świat o wiele bezpieczniejszym miejscem, mimo że te przerażające urządzenia mogą teoretycznie zniszczyć miliony istnień ludzkich w ciągu kilku sekund. Powiedziano nam, że broń nuklearna odstrasza innych potencjalnie niebezpiecznych wrogów Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników oraz że ostatecznie zapobiega wojnom i pozwala na rozkwit pokoju na ziemi.

Czy to możliwe, że to, czego nas uczono na ten temat, opiera się na kłamstwie establishmentu?

Po opracowaniu bomba atomowa została rzekomo dwukrotnie zrzucona na Japonię w latach 40. XX wieku. Bomby podobno szybko zakończyły II wojnę światową. Technologia ta nigdy nie została ponownie wykorzystana w żadnej wojnie, chociaż groźba użycia broni jądrowej przeciwko ludzkości i planecie została nagłośniona do znudzenia.

Jedynym innym dowodem na użycie broni atomowej w historii były ściśle tajne testy rządowe. Wszystkie te testy miały ograniczoną liczbę świadków rządowych, a wiele z nich

przeprowadzono pod ziemią lub pod wodą. Wszystkie te testy można było przeprowadzić przy użyciu konwencjonalnych bomb. TNT mogło zostać użyte do wykonania testu bomby atomowej.

Ponadto ciągłe zagrożenie detonacją broni jądrowej przez terrorystów było przez lata tak przeceniane w hollywoodzkich produkcjach filmowych, że ludzie są teraz zaprogramowani, aby wierzyć, że to tylko kwestia czasu, zanim jedno z tych urządzeń zostanie użyte przeciwko gęsto zaludnionemu miastu. Jednak na całym świecie nie było żadnych bomb nuklearnych używanych przez szalonych terrorystów. Sam ten fakt jest więcej niż trochę dziwny.

Istnieją anonimowi wtajemniczeni rządowi, którzy twierdzą, że miasta Hiroszima i Nagasaki zostały zniszczone przez konwencjonalne bombardowania, a nie przez broń atomową. Niektórzy badacze twierdzą, że bomby atomowe są niemożliwe do wyprodukowania.

Budynki, które pozostały nienaruszone i brak promieniowania w Hiroszimie i Nagasaki, wydają się potwierdzać to twierdzenie.

Izrael podobno ma do dyspozycji ogromny zapas 400 szt. broni nuklearnych, a mimo to nigdy nie zdetonował ani jednego urządzenia w kierunku swoich arabskich sąsiadów. To ci sami arabscy □□sąsiedzi, którymi gardzą. Czy blefują?

Mając tak wiele niestabilnych krajów i rzekomo szalonych grup terrorystycznych, i tak wiele broni nuklearnej pozornie do ich dyspozycji lub na sprzedaż, jak to możliwe, że nigdy nie zdarzył się żaden incydent nuklearny?

Jaka inna niesamowita technologia została ujawniona dawno temu i nigdy nie została ponownie użyta, chociaż ciągle przypominamy o tym osiągnięciu? Oczywiście lądowania na Księżycu; kolejna mistyfikacja epickich rozmiarów.

Czy światowi przywódcy niektórych krajów naprawdę chodzą z

walizkami nuklearnymi i odpowiednimi kodami startowymi? Czy broń jądrowa rzeczywiście istnieje? Prawdopodobnie nie.

Zanim potraktujesz to wszystko jako szaloną teorię spiskową, pomyśl przez chwilę o tym, jak duży wpływ mają niektóre kraje na inne z powodu ich rzekomych arsenałów nuklearnych. A jeśli na całym świecie nie ma bomb atomowych?

Pomyśl o wszystkich wydatkach wojskowych, które miały miejsce w związku z programami nuklearnymi. I nie zapomnij o wszystkich pieniądzach, które kraje przeznaczyły na ochronę ich infrastruktury przed nadchodzącą bronią jądrową.

Tak jak elity kłamały na temat technologii kosmicznych i odwiedzania Księżyca, jest cholernie duża szansa, że □□kłamią na temat istnienia broni atomowej. Kłamali o tym, że większość rzeczy, których nauczono ludzi, jest prawdziwych.

Obejrzyj poniższe filmy:

https://youtu.be/bGSpV3yNza4

Bilans Wojny na Ukrainie

Polacy pozbawieni prawie zupełnie własnych niezależnych mediów, atakowani zewsząd nachalną anglosaską propagandą zupełnie nie orientują się w rzeczywistym przebiegu wojny na Ukrainie. Ta zamierzona przez zagranicznych decydentów niewiedza w zasadniczym stopniu kształtuje ich świadomość i

powoduje, że podejmują coraz gorsze decyzje dotyczące fundamentalnych spraw związanych istnieniem państwa i narodu.

Wielu trzeźwych obserwatorów domyśla się, że informacje o wielkich zwycięstwach i kontrofensywach Ukraińców to produkt czysto pijarowy, zmyślony i przez nikogo niepotwierdzony. Bo jakie to miasto na przykład w ciągu tych 55 dni wojny odbiły siły ukraińskie? Jakie odziały rosyjskie pokonały? Wszystkie to „sukcesy" okazywały się być po paru dniach sfabrykowanymi kolażami, przerobionymi w Photoshopie zdjęciami, wymyślonymi mitami, jak np. tzw. „Duch Kijowa" – pilot, który miał zestrzeliwać rosyjskie samoloty, a który w ogóle nie istniał.

Cel narzucanej w ten sposób Polakom propagandy był oczywisty- zbudowania przeświadczenia, że pomaganie Ukrainie ma głęboki sens, że nasze wysiłki przybliżają „ostateczne zwycięstwo" słusznej sprawy. Ten medialny pressing pomagał też niewątpliwie w przeprowadzaniu narzuconej nam przez USA przymusowej mobilizacji naszych wszystkich zasobów: militarnych, finansowych, gospodarczych na rzecz wschodniego sąsiada. Dzięki temu Polacy sami oddają wszystko to, co mają najlepszego Ukraińcom –ostatnią sprawną broń, żywność, amunicję, paliwo. Wielu z nich nawet zaciąga się, jako najemnicy do prywatnych armii organizowanych przez nacjonalistów. Nikt nie zastanawia się, czy wszystkie te wysiłki i całe to oszalałe „wzmożenie" będzie miało jakikolwiek sens i pożytek zarówno dla Ukraińców, jak i dla Polaków. Wściekła propaganda mainstreamowa eliminuje wszelkie próby refleksji a każdy, kto odważy się na niezależnie myślenie jest piętnowany, jako zdrajca i obcy agent a tabuny zindoktrynowanych bogoojczyźnianych tzw. „Januszy" próbują zrobić wszystko, aby „podstawić mu nogę" w życiu osobistym i pracy zawodowej. Szpicel i denuncjator to teraz zajęcia cieszące się największym autorytetem w polskim społeczeństwie.

Rzeczywisty obraz wojny

Pragnąc podejmować racjonalne decyzje warto wyrobić sobie rzetelny ogląd na stan spraw na Ukrainie i spróbować uchwycić rzeczywisty obraz konfliktu. Jedną z najmniej zawodnych, jak i najbardziej odporną na manipulacje jest metoda statystyczna. Trzeba po prostu policzyć stan wyjściowy zasobów militarnych stron konfliktu, policzyć dotychczasowe traty, oraz oszacować czy pozostałe zasoby wystarczą, aby osiągać sukces lub dalej móc prowadzić wojnę.

W przedstawionych poniżej dwóch tabelach zestawiono zasoby i straty obu stron na dzień 16-17 kwietnia 2022. Przyjęto oficjalne dane Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej oraz sztabu generalnego Sił Zbrojnych Ukrainy. Rosyjskie dane są bardziej wiarygodne, gdyż Rosjanie podając je pokazują szczegółowe dowody (zdjęcia, filmy) i wyliczenia. Dane ukraińskie dotyczące strat rosyjskich według rozeznania są 2-3 krotnie przesadzone. Ukraińcy podając je nie potrafią w żaden sposób potwierdzić ich materiałem zdjęciowym. Autor nie znalazł np. potwierdzenia zdjęciowego nawet 10 samolotów zestrzelonych przez wojska ukraińskie. Ale nie o to tutaj chodzi, Przyjęto dane deklarowane przez obie strony wojujące, aby uchwycić generalny stan zasobów i strat.

Straty armii ukraińskiej według strony rosyjskiej, według Ministerstwa Obrony Rosji na dzień 17 kwietnia 2022

	Stan na luty 2022	Stracono do 17.04.2022	Procent strat
Samoloty	159	134	**84**
Helikoptery	147	105	**71**
Bezzałogowce	500	460	**92**
Zestawy przeciwlotnicze	300	246	**82**
Czołgi i bojowe wozy piechoty	2596+4000	2,269	**34**
Wyrzutnie rakiet	490	252	**51**
Artyleria Polowa i Moździerze	3107	987	**32**
Wozy specjalistyczne	5000	2158	**43**
Flota	38	38	**100**
Żołnierze	209	23 367 zabici	**11**
		30 000 ranni – szacunek	**14**

Straty sił rosyjskich według sztabu generalnego Sił Zbrojnych Ukrainy na dzień 16 kwietnia 2022.

	Stan na luty 2022	Stracono do 16.04.2022 Według wersji ukraińskiej	Procent strat
Samoloty bojowe	2100	163	**7,76**
Helikoptery	2050	144	**7,02**
Bezzałogowce	3000	135	**4,50**
Zestawy przeciwlotnicze	5000	66	**1,32**
Czołgi	24 000 (z rezerwami)	756	**3,15**
Bojowe wozy piechoty	40 500 (z rezerwami)	1976	**4,88**
Wyrzutnie rakiet (bez strategicznych)	3391	122	**3,60**
Artyleria Polowa i Moździerze	20 000 (bez rezerw)	366	**1,83**
Wozy specjalistyczne	40 000 (bez rezerw)	1443	**3,61**
Flota	605	2	**0,33**
Żołnierze	900 000	20 000	**2,22**

Jak możemy wywnioskować z powyższych zestawień Ukraina utraciła do tej pory większość swojego sprzętu wojennego. Wyposażenie wojsk lądowych (artyleria, czołgi, BWP) zostało już w prawie 50% zniszczone przez Rosjan. Marynarka wojenna i lotnictwo nie istnieją od dawna. Nastąpił także poważny ubytek w sile żywej – około 20% żołnierzy zostało wyłączonych z walki.

Z kolei straty Rosjan (mocno przesadzone przez Ukraińców) stanowią ułamek ich zasobów militarnych– to zaledwie około 2-3% faktycznych możliwości Federacji Rosyjskiej, a w rzeczywistości nawet mniej. Zapasy sprzętowe Rosjan są stale uzupełniane przez przemysł albo przemieszczane z głębi kraju na linię frontu.

Najważniejsze w długotrwałym prowadzeniu wojny jest sprawne dostarczanie wojskom amunicji, materiałów pędnych i żywności oraz finasowanie konfliktu. Ukraina, jako jedne z

najuboższych krajów Europy posiadała zaledwie 30 mld USD rezerw walutowych, podczas gdy Rosja ma ich aż 630 mld. Ukraina prawie całą potrzebną ropę niezbędną dla walczącej armii importuje z zagranicy- głównie z Białorusi, produkcja własna jest niewielka, podczas gdy Rosja jest jednym z największych jej producentów na świecie. Trzeba także dodać, że obecnie wszystkie pracujące na Ukrainie rafinerie i większość baz materiałów pędnych zostały już zniszczone przez rosyjskie naloty. Ukraina może obecnie polegać wyłącznie na dostawach z zagranicy z Polski i Rumunii, ale też nie wiadomo, przez jaki jeszcze czas.

Wojna toczy się na terytorium Ukrainy i dezorganizuje całe państwo. Przede wszystkim zaś – do końca, dzień po dniu, obraca w perzynę i tak marną ukraińską infrastrukturę – drogi, koleje, porty, elektrownie, lotniska, podczas kiedy Rosja nie ponosi tutaj żadnych uszczerbków.

Dlatego wniosek jest oczywisty. Ukraina nie może wygrać tej wojny. Większość sprzętu wojskowego, znaczna część armii jest unieszkodliwiona, zapasy materiałowe są praktycznie wyczerpane i stale niszczone a w wielu regionach brakuje już żywności. Głodują już nawet wojska ukraińskie, które dopuszczają się rabunków na okolicznych mieszkańcach.

Z kolei Rosja poświęciła zaledwie drobny ułamek swoich ogromnych zasobów i stale je odnawia zwiększając stale ilość sprzętu i materiałów dosyłanych na linię frontu. Wojna cieszy się poparciem 80% Rosjan, którzy zjednoczyli się przy prezydencie Putinie i nic nie zapowiada zmiany tych preferencji.

Dlatego nie bójmy się wyciągać oczywistego wniosku. Ukraina tę wojnę przegrała i dalsze prowadzenie nie zmieni jej ostatecznego wyniku. Rosjanie posiadają absolutna przewagę we wszelkich aspektach, poczynając od dominacji w powietrzu, poprzez zaawansowanie techniczne wojsk, a skończywszy na zabezpieczeniu materiałowym. Przewaga ta stale rośnie i wojska

ukraińskie nie są zdolne do żadnych działać zaczepnych i nigdy już nie będą.

Wnioski dla Polski.

Skoro przegrana Ukrainy w toczącej się wojnie jest sprawą oczywistą zastanówmy się, nad jakie wnioski płyną dla nas i jak powinniśmy się zachować, aby nie uciapało bezpieczeństwo państwa i obywateli.

Niewątpliwie, jako najważniejszą sprawę powinniśmy rozważyć sens dalszych dostaw polskiego uzbrojenia i materiałów pędnych dla armii ukraińskiej, które i tak nie zmienią wyniku starcia na Ukrainie, a stanowią olbrzymie obciążenie dla budżetu Polski, które dodatkowo musi ponosić ciężar utrzymania prawie 3 mln ukraińskich uchodźców. Poza tym dostawy te mogą zostać uznane przez zwycięskich Rosjan za casus belli i sprowadzić na nasze domy zagrożenie wojenne. Dobrze wiemy, że państwa NATO nie chcą interweniować bezpośrednio na Ukrainie, gdyż oznaczałoby to III wojnę światową. To karmienie Ukraińców mrzonkami i złudzeniami na pomoc zachodnią, a tej nie będzie.

Jako, że Ukraina jest naszym sąsiadem Polska zamiast dolewać benzyny do konfliktu powinna się zaangażować jak najszybciej w zainicjowanie procesu pokojowego. Jest w naszym interesie, aby wojna nie rozlała się dalej i nie zablokowała pomostu handlowego Wchód – Zachód, gdyż wówczas Polska utraci wszystkie profity z racji swojego tranzytowego położenia w Europie. Dlatego polski rząd i wszystkie opcje polityczne powinny stać się ambasadorami pokoju w naszej części kontynentu.

Polski interes gospodarczy wymaga także nie zrywania kontaktów z Białorusią i Rosją, gdyż poprzez te państwa przebiegają główne kontynentalne korytarze handlowe do Chin, ponadto Rosja jest głównym dostawcą węglowodorów, które są niezbędne polskiej gospodarce i obywatelom. Dodatkowo po zwycięstwie na Ukrainie to Rosja będzie kształtować stosunki polityczne na

wschodzie kontynentu. Nie ma żadnego ważnego powodu abyśmy dobrowolnie ograniczali sobie możliwości prowadzenia polityki w przyszłości.

Nie bójmy się myśleć o sobie i naszych interesach.

To nie nasza wojna.

Piotr Panasiuk

„Traktat Pandemiczny” czyli kto ma klucze do WHO

> *„Traktat Pandemiczny”, który unieważnia lub uchyla decyzje rządów krajowych lub lokalnych, przekazałby ponadnarodowe uprawnienia niewybieralnemu biurokracie lub „ekspertowi”, który mógłby z nich korzystać* ***całkowicie według własnego uznania*** *i w oparciu o* ***całkowicie subiektywne kryteria****.*

–*–

W menu na dziś danie traktatowe. W zgiełku medialnym spowodowanym konfliktem zbrojnym na wschodzie, tzw. elity wykorzystują ten czas, aby pozmieniać to i owo w umowach międzynarodowych i przygotować nas na ‘nowe pandemie’. Gdy ucichnie wojenna wrzawa, możemy znaleźć się w zupełnie nowej rzeczywistości.

Zapraszam do lektury.

„Traktat pandemiczny” przekaże WHO klucze do globalnego rządu

Sugerowane klauzule będą zachęcać do zgłaszania „pandemii” i karać narody za „nieprzestrzeganie”

Pierwsze publiczne przesłuchania w sprawie proponowanego „Traktatu pandemicznego” są już zamknięte, a kolejna tura ma się rozpocząć w połowie czerwca.

Próbowaliśmy utrzymać ten temat na naszej pierwszej stronie, tylko dlatego, że główny nurt tak bardzo go ignoruje i masowo publikuje stronnicze [partisan] obrazy wojenne i propagandę.

Kiedy my – i inni – linkowaliśmy do strony z publicznie dostępnymi danymi, wywołało to taką reakcję, że strona internetowa WHO faktycznie na chwilę się zawiesiła lub udawali, że się zawiesiła, aby ludzie przestali wysyłać im listy.

Tak czy inaczej, to wygrana. Miejmy nadzieję, że uda nam się to powtórzyć latem.

Póki co, wszystko wskazuje na to, że skąpe doniesienia prasowe, głównie na dalszych stronach internetowych, będą koncentrować się na uczynieniu traktatu „*wystarczająco silnym*” i zapewnianiu, że rządy krajowe będą mogły być „*pociągane do odpowiedzialności*”.

Artykuł w brytyjskim The Telegraph z 12 kwietnia w nagłówku:

> *Realne ryzyko, że traktat pandemiczny może być „zbyt rozwodniony”, aby powstrzymać nowe epidemie*

Dalej koncentruje się na raporcie z Panelu w ramach Światowej Konwencji Zdrowia Publicznego (Global Public Health Convention, GPHC) i cytuje jedną z autorek raportu, Barbarę Stocking:

> *Naszą największą obawą […] jest to, że zbyt łatwo jest myśleć, że odpowiedzialność nie ma znaczenia. Mieć traktat, w którym nie ma mowy o odpowiedzialności, to szczerze mówiąc, nie ma sensu mieć traktatu w ogóle".*

Raport GPHC mówi dalej, że obecne Międzynarodowe Przepisy Zdrowotne są *„zbyt słabe"* i wzywa do utworzenia nowego *„niezależnego"* międzynarodowego organu do *„oceniania gotowości rządu"* i *„publicznego upominania lub chwalenia krajów, w zależności od stopnia przestrzegania przez nie zestawu uzgodnionych wymagań"*.

Inny artykuł, opublikowany przez London School of Economics, którego współautorami są członkowie Niemieckiego Sojuszu na rzecz Zmian Klimatu i Zdrowia (KLUG), również dość mocno forsuje ideę „odpowiedzialności" i „podporządkowania":

> *Aby ten traktat miał zęby, organizacja, która nim rządzi, musi mieć władzę – polityczną lub prawną – by egzekwować jego przestrzeganie.*

Jest to również odzwierciedlenie raportu ONZ z maja 2021r., w którym wzywa się do zwiększenia uprawnień dla WHO:

> *W swojej obecnej formie WHO nie posiada takich uprawnień […] Aby kontynuować realizację traktatu, WHO musi być zatem wzmocniona – finansowo i politycznie.*

Zaleca zaangażowanie w negocjacje „podmiotów niepaństwowych", takich jak Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Światowa Organizacja Handlu i Międzynarodowa Organizacja Pracy, i sugeruje by traktat oferował zachęty finansowe do

wczesnego zgłaszania „nagłych sytuacji zdrowotnych” [podkreślenie dodane]:

> *W przypadku ogłoszonego stanu zagrożenia zdrowia środki muszą płynąć do krajów, w których występuje takie zagrożenie, uruchamiając elementy reagowania, **takie jak finansowanie** i wsparcie techniczne. Są one szczególnie istotne w przypadku krajów LMIC i mogą być wykorzystywane do zachęcania i usprawniania terminowego udostępniania informacji przez państwa, zapewniając je jednocześnie, że nie będą podlegać arbitralnym sankcjom handlowym i podróżnym za zgłoszenie, **ale zamiast tego otrzymają niezbędne środki finansowe i zasoby techniczne**, których potrzebują, aby skutecznie reagować na epidemię.*

Na tym jednak się nie kończy. Podnoszą również kwestię **karania** krajów za „nieprzestrzeganie”:

> *[Traktat powinien posiadać] elastyczny system zachęt, [w tym] sankcje, takie jak publiczne nagany, **sankcje ekonomiczne lub odmowa świadczeń**.*

Aby przetłumaczyć te sugestie z języka biurokratycznego na angielski:

- Jeśli zgłosisz „ogniska chorób” w „terminie”, otrzymasz „zasoby finansowe”, aby sobie z nimi poradzić.
  .
- Jeśli nie zgłosisz wybuchów epidemii lub nie zastosujesz się do zaleceń WHO, stracisz pomoc międzynarodową i będziesz musiał stawić czoła embargom handlowym i sankcjom.

W połączeniu te proponowane zasady **dosłownie zachęcałyby do zgłaszania ewentualnych „ognisk choroby”**. Dalekie od *zapobiegania „przyszłym pandemiom”*, aktywnie by do nich *zachęcały*.

Rządy krajowe, które odmawiają takiej gry, są karane, a ci, którzy do niej wejdą, otrzymują zapłatę – to akurat nic nowego. Widzieliśmy to już w przypadku Covida.

Dwa kraje afrykańskie – Burundi i Tanzania – miały prezydentów, którzy zakazali WHO wstępu do swoich państw i odmówili przyłączenia się do narracji pandemicznej. Obaj prezydenci zmarli niespodziewanie w ciągu kilku miesięcy od tej decyzji, ale zaraz zastąpili ich nowi prezydenci, którzy natychmiast odwrócili covidową politykę swoich poprzedników.

Niespełna tydzień po śmierci prezydenta Pierre'a Nkurunzizy MFW zgodził się umorzyć prawie 25 milionów dolarów długu narodowego Burundi, aby pomóc w walce z „kryzysem" Covid19.

Zaledwie pięć miesięcy po śmierci prezydenta Johna Magufuliego nowy rząd Tanzanii otrzymał od MFW **600 milionów dolarów** na „zajęcie się pandemią Covid19".

To chyba całkiem jasne, co się tutaj wydarzyło, prawda?

Globaliści poparli zamachy stanu i nagrodzili sprawców „pomocą międzynarodową". Propozycje traktatu pandemicznego po prostu legitymizowałyby ten proces, zastępując metody *ukryte*, sposobami *jawnymi* i oficjalnymi.

Teraz, zanim omówimy implikacje nowych uprawnień, przypomnijmy sobie zakres władzy, którą WHO już posiada:

- Światowa Organizacja Zdrowia jest jedyną instytucją na świecie uprawnioną do ogłoszenia „pandemii" lub zagrożenia zdrowia publicznego o zasięgu międzynarodowym (PHEIC).
  .
- Dyrektor Generalny WHO – stanowisko niewybieralne – jest jedyną osobą, która kontroluje tę władzę.

Widzieliśmy już, jak WHO nadużywa tych uprawnień, aby stworzyć fałszywą pandemię z powietrza… i nie mówię tu o covid.

Przed 2008r. WHO mogła ogłosić pandemię grypy tylko wtedy, gdy była *„ogromna liczba zgonów i chorób”* **ORAZ** istniał nowy i odrębny podtyp. W 2008 roku WHO poluzowała definicję „pandemii grypy”, aby usunąć te dwa warunki.

Jak wskazano w liście z 2010 roku do British Medical Journal, zmiany te oznaczają, że *„wiele wirusów grypy sezonowej może być sklasyfikowane jako grypa pandemiczna*”.

Gdyby WHO nie wprowadziła tych zmian, wybuch „świńskiej grypy” w 2009 roku **nigdy** nie mógłby zostać nazwany pandemią i prawdopodobnie przeszedłby bez zauważenia.

Zamiast tego dziesiątki krajów wydały miliony dolarów na szczepionki przeciwko świńskiej grypie, których nie potrzebowały i które nie działały, aby walczyć z „pandemią”, która spowodowała mniej niż 20 000 zgonów. Wiele osób odpowiedzialnych za doradzanie WHO w sprawie ogłoszenia świńskiej grypy stanem zagrożenia zdrowia publicznego okazało się później mieć powiązania finansowe z producentami szczepionek.

Pomimo tego historycznego przykładu rażącej korupcji, jedna proponowana klauzula traktatu pandemicznego jeszcze bardziej ułatwiłaby ogłoszenie PHEIC [Public Health Emergency of International Concern]. Według raportu z maja 2021r. *„Covid19: Spraw, aby była to ostatnia pandemia*” [podkreślenie dodane]:

> *Przyszłe deklaracje PHEIC składane przez Dyrektora Generalnego WHO powinny w uzasadnionych przypadkach* ***opierać się na zasadzie ostrożności***

Tak, proponowany traktat może pozwolić DG WHO na ogłoszenie stanu globalnego zagrożenia, aby zapobiec potencjalnej pandemii, a nie w odpowiedzi na nią. Rodzaj pandemicznej prewencji kryminalnej [pandemic pre-crime].

Jeśli połączysz to z proponowaną „pomocą finansową” dla krajów

rozwijających się, które zgłaszają „potencjalne sytuacje kryzysowe dotyczące zdrowia”, możesz zobaczyć, co zamierzają stworzyć – w gruncie rzeczy przekupują rządy trzeciego świata, aby dać WHO pretekst do ogłoszenia stanu wyjątkowego.

Znamy już inne kluczowe punkty, które prawdopodobnie zostaną uwzględnione w traktacie pandemicznym. Prawie na pewno spróbują wprowadzić międzynarodowe paszporty szczepień i przelać fundusze do kieszeni Big Pharmy, aby produkowali „szczepionki” jeszcze szybciej i przy jeszcze mniejszej liczbie testów bezpieczeństwa.

Ale wszystko to blednie w porównaniu z umocowaniami prawnymi, jakie potencjalnie mogą zostać przekazane dyrektorowi generalnemu WHO (lub jakiemukolwiek nowemu „niezależnemu” organowi, jaki mogą utworzyć) do karania, rozdawania nagan lub nagradzania rządów krajowych.

„Traktat Pandemiczny”, który unieważnia lub uchyla decyzje rządów krajowych lub lokalnych, przekazałby ponadnarodowe uprawnienia niewybieralnemu biurokracie lub „ekspertowi”, który mógłby z nich korzystać **całkowicie według własnego uznania** i w oparciu o **całkowicie subiektywne kryteria**.

Taka jest istota definicji technokratycznego globalizmu.

Kit Knightly

Jawa i mrzonki. Porzućcie marzenia

Wojna na Ukrainie trwa już ponad miesiąc, a ani rozstrzygnięcia, ani końca nie widać. Trudno się temu dziwić w sytuacji, gdy na Ukrainie Rosja prowadzi wojnę z NATO. Wprawdzie NATO nie jest bezpośrednio zaangażowane w operacje wojskowe, ale, pod pretekstem samoobrony, dostarcza Ukrainie broń, amunicję i inne materiały wojenne za darmo, więc nie można tego nazwać zwyczajnym handlem.

Tylko do 27 lutego USA, Wielka Brytania, Kanada, Francja, Niemcy, Polska Belgia, Czechy, Holandia, Grecja, Litwa, Łotwa, Estonia, Portugalia, Rumunia, Słowacja, dostarczyły tam różnego rodzaju broń ogromnej wartości. Tylko USA do 27 lutego przekazały Ukrainie broń za prawie 3 miliardy dolarów, a przecież to był dopiero początek. Polska, przez którą przechodzi większość tych dostaw, zachowuje się wzorowo, bo – jak zauważył rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych pan Łukasz Jasina – „jesteśmy tutaj sługami narodu ukraińskiego, jego próśb”. Ta deklaracja była niewątpliwie szczera, toteż nic dziwnego, że władze ukraińskie zachowują się wobec opieszałych państw NATO mocarstwowo, zapewne w przekonaniu, że tak będzie również po wojnie, a może nawet zawsze? Być może właśnie dlatego została tam przyjęta jeszcze w lipcu ubiegłego roku ustawa o „rdzennej ludności Ukrainy”, która co prawda – jak się wydaje – dotyczy przede wszystkim Krymu, ale można też będzie interpretować ją szerzej – jak zajdzie taka potrzeba.

Na razie jednak wojna trwa, więc mamy trzy możliwości. Pierwsza – że Ukraina tę wojnę wygra. Za wygranie uważam wyparcie Rosji ze wszystkich części państwa ukraińskiego, łącznie z Krymem. W takiej sytuacji Ukraina stałaby się niewątpliwie rodzajem regionalnego mocarstwa tym bardziej, że

niezależnie od wyniku wojny, napłyną tam kolejne miliardy nie tylko na armię, ale również – na odbudowę ze zniszczeń. Czy w tych kosztach partycypowałaby również Rosja? Prawdopodobnie, gdyby jej klęska była spektakularna, czego wykluczyć przecież nie można, zwłaszcza opierając się na komunikatach ukraińskiego Sztabu Generalnego czy wywiadu.
Manifest Antykomunistyczny! Już dostępny!

Druga możliwość jest taka, że Ukraina tej wojny nie wygra, ale też nie przegra. Wtedy Rosja zajmie wschodnią, uprzemysłowioną część Ukrainy, odetnie ją od Morza Czarnego, pozostawiając w gestii ukraińskich władz słabiej uprzemysłowioną część zachodnią – dlatego w takim przypadku nie można mówić o wojnie przegranej przez Ukrainę. Z polskiego punktu widzenia ta możliwość wydaje się najbardziej korzystna, bo nadal mielibyśmy na wschodzie niepodległą Ukrainę, w dodatku – trwale skonfliktowaną z Rosją – ale nie mocarstwową. Wreszcie możliwość trzecia – że Ukraina tę wojnę przegra, to znaczy – Rosja zmusi ją do kapitulacji, to znaczy – zainstaluje tam „bratni” rząd i zawrze z nim układ o przyjaźni – jak ze zbuntowanymi republikami: doniecką i Ługańską. Najbardziej prawdopodobna wydaje się dziś możliwość druga, bo – jak pokazuje sytuacja na froncie – Rosja uzyskanie lądowego korytarza do Krymu ma już w zasięgu ręki, podobnie jak odcięcie Ukrainy od wybrzeża czarnomorskiego. W tej sytuacji to Rosja jest zainteresowana w jak najszybszym zakończeniu działań wojennych i zawarciu z Ukrainą pokoju, a przynajmniej rozejmu, w którym Ukraina tę zmianę swoich granic przyjęłaby do wiadomości, nawet bez formalnego uznania. Musimy bowiem pamiętać, że i Rosja nie może zbytnio przeciągać struny, bo przecież na Ukrainie wojuje z NATO – co prawda do ostatniego Ukraińca, niemniej jednak. Doświadczenia II wojny światowej, w której starła się „rasa”, „masa” i „kasa” pokazują, że rozsądek nakazuje, by z „kasą” się liczyć.
Porzućcie marzenia

Wspominam o tym wszystkim dlatego, że wojna na Ukrainie

rozpaliła wyobraźnię wielu polskich patriotów do tego stopnia, że własne marzenia zaczynają brać za rzeczywistość. Czy naprawdę, czy tylko w nadziei, że w ten sposób przypodobają się Naczelnikowi Państwa, który w nagrodę hojnie ich wyfutruje za pośrednictwem spółek Skarbu Państwa – o to mniejsza – chociaż wykluczyć tego nie można, choćby z powodu, że ma on skłonności do – jak to nazwał Aleksander Smolar na etapie, gdy panu red. Michnikowi wywietrzał już z głowy entuzjazm do prezydenta Lecha Kaczyńskiego – „postjagiellońskich mrzonek". Te „mrzonki" polegają na przekonywaniu, że Rosję, która jest „niepoprawna, trzeba „zniszczyć", a wtedy, w wytworzonej w ten sposób politycznej próżni, powstanie organizm przypominający Rzeczpospolitą Obojga Narodów, oczywiście z Polską, jako jej politycznym kierownikiem. Jest to wizja wprawdzie piękna, ale chyba zbyt piękna, by była prawdziwa. Rzecz w tym, że od czasów mocarstwowej Rzeczypospolitej, we Wschodniej Europie trochę się zmieniło. W XIX wieku zaczęły kształtować się tam nacjonalizmy: ukraiński, litewski i nieco później – białoruski – które powstawały w opozycji do polskości – i tak już zostało. Czy tak zostało z powodu podjudzania tych nacjonalizmów przez Niemcy i Rosję w celu szachowania Polski, czy też złożyły się na to również antypolskie antagonizmy na tle socjalnym, o to mniejsza, bo ważniejsze jest to, że ani Ukraina, ani Białoruś, ani nawet Litwa nie chcą nawet słyszeć o poddaniu się polskiemu kierownictwu politycznemu.

Jeśli już widzą jakąś wspólnotę z Polską, to raczej na zasadzie sformułowanej właśnie przez rzecznika MSZ w Warszawie pana Jasinę, który – chociaż został za to ofuknięty – może mieć więcej oleju w głowie niż Naczelnik Państwa, a w każdym razie – więcej poczucia rzeczywistości. Warto w tym miejscu przypomnieć, że „postjagiellońskim mrzonkom" prezydenta Lecha Kaczyńskiego położył kres prezydent USA Barack Obama, dokonując 17 września 2009 roku słynnego „resetu" w stosunkach amerykańsko-rosyjskich, którego politycznym owocem było proklamowane 20 listopada 2010 w Lizbonie „strategiczne partnerstwo NATO-Rosja", będące najważniejszym postanowieniem

„porządku lizbońskiego”, którego kamieniem węgielnym był podział Europy w strefę niemiecką i strefę rosyjską, prawie dokładnie wzdłuż linii Ribbentrop-Mołotow. I chociaż pod koniec 2013 roku prezydent Obama wysadził ten porządek w powietrze, z czego natychmiast skorzystała Rosja, by oskubać Ukrainę, to z „postjagiellońskich mrzonek” naszych Umiłowanych Przywódców pozostały jedynie kabotyńskie, lizusowskie okrzyki, jakie wydawali na kijowskim „majdanie” pod adresem Ukraińców. Teraz było podobnie: „koncepcję” Naczelnika Państwa, by pod pretekstem uzbrojonej po zęby „misji pokojowej” NATO na Ukrainie wciągnąć Sojusz Atlantycki w „niszczenie Rosji”, zlikwidował prezydent Biden po wysłuchaniu opinii państw poważnych, a prezydent Zełeński, najwyraźniej przez kogoś oświecony, też się od „koncepcji” zdystansował się udając, że jej „nie rozumie”, chociaż zrozumiał w lot, a prawdziwe powody wyjaśnił już w następnym zdaniu: „Na szczęście albo niestety, to jest nasz kraj, a ja jestem prezydentem, więc to my będziemy decydowali, czy będą tu inne siły”.

On najwidoczniej też uważa, podobnie jak pan rzecznik MSZ Jasina, że Polska, jeśli już, to co najwyżej może być „sługą narodu ukrańskiego” oczywiście pojmowanego według kryteriów przewidzianych w ustawie „o rdzennej ludności Ukrainy”. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że znaczna część narodu ukraińskiego już przeniosła się do Polski, która właśnie służy mu, jak tylko może, poczytując to sobie za cnotę. Czy ten kubeł zimnej wody na Naczelnika podziałał – nie można wykluczyć, bo zaraz po fiasku „koncepcji” proklamował powrót do rozdziobywania katastrofy smoleńskiej. Przy jej pomocy „zniszczyć Rosji” się jednak nie da, ale oczywiście zaprzyjaźnione media będą nadal opływały w dostatki.
Nasz wybór

W tej sytuacji Polska ma dwa wyjścia: albo pozostać w Unii Europejskiej, to znaczy – pożegnać się już nawet nie z „postjagiellońskimi mrzonkami”, ale nawet z mrzonkami o niepodległości i zgodzić się na status niemieckiego landu w IV

Rzeszy, albo podjąć próbę przyłączenia się do Stanów Zjednoczonych, jako kolejny stan tego państwa. To co prawda oznaczałoby również konieczność rezygnacji z mrzonek o niepodległości, ale – jak w swoim czasie mówił mi Guy Sorman – porównywać można tylko możliwości istniejące z istniejącymi. Zatem tak naprawdę stoimy przed alternatywą – czy zostać niemieckim landem, czy stanem USA. Jaka jest nasza sytuacja jako niemieckiego landu – to już mniej więcej wiemy na podstawie doświadczeń dotychczasowych – a ona może tylko się pogarszać w miarę, jak w Unii Europejskiej będzie narastał socjalizm, a presja na promocję sodomczyków i ekologizmu będzie narastała do poziomu paranoi.

Stany Zjednoczone od pewnego czasu pod tym względem lepiej nie wyglądają, ale tam pozycja prezydenta Bidena i Partii Komunis…, to znaczy pardon – oczywiście Partii Demokratycznej, nie jest taka znowu silna, by to się nie mogło zmienić, a ponadto – w odróżnieniu od Unii Europejskiej, panuje tam większy pluralizm prawny. Na przykład, mimo że w USA panuje zakaz poligamii, senat stanu Utah zdecydował, że w tym stanie nie jest ona przestępstwem, tylko wykroczeniem, za które grozi symboliczna grzywna, a jest to zaledwie wstęp do całkowitej legalizacji wielożeństwa. Zatem, chociaż administracja prezydenta Józia Bidena forsuje wszystkie możliwe zboczenia, być może udałoby się uchronić Polskę jako jeden ze stanów USA przed tą plagą?

Wprawdzie Polska leży daleko od Ameryki Północnej, ale Hawaje też leżą ponad 3500 kilometrów od zachodniego wybrzeża, czyli w odległości mniej więcej takiej jak Portugalia od Polski, więc niekoniecznie musiałoby to być przeszkodą tym bardziej, że Izrael, który wprawdzie formalnie nie jest stanem USA, przecież wywiera na politykę tego państwa znacznie większy wpływ niż np. Arizona, a leży od Ameryki jeszcze dalej. Odległość, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, nie powinna być problemem, zatem zajmijmy się potencjalnymi korzyściami takiej zmiany.

Co prawda musielibyśmy pożegnać się z mrzonkami o niepodległości, ale w Unii Europejskiej nie mamy żadnej innej alternatywy, co zostało postanowione w traktacie z Maastricht, który wszedł w życie w 1993 roku. W tej sytuacji opowieści o „Europie Ojczyzn", to kolejna mrzonka, jeszcze większa od tych „postjagiellońskich". Szkoda każdego słowa. Gdyby tedy Polska została kolejnym stanem USA, to nie musielibyśmy z trwogą i niepewnością myśleć o art. 5 traktatu waszyngtońskiego, bo on nie miałby tu nic do rzeczy, zaś ewentualny atak Rosji na Polskę byłby już uderzeniem na Stany Zjednoczone. Jak pamiętamy, nigdy nic takiego się nie zdarzyło, bo zgodnie z doktryną elastycznego reagowania i Rosja i USA konfrontują się ze sobą bezpośrednio, ale na przedpolach, np. na Ukrainie. W tej sytuacji Ameryka przestałaby promować w Polsce narwańców, na czym nasza scena polityczna mogłaby tylko skorzystać. Nie musielibyśmy też kombinować, za co uzbroić dodatkowe 200 tys. żołnierzy, o których chcemy powiększyć naszą niezwyciężoną armię, bo zatroszczyłyby się o to Stany Zjednoczone, nawet bez specjalnych próśb z naszej strony. Zresztą skoro już teraz pan prezydent Duda mówi o kilkunastu, a w porywie serca gorejącego – nawet o kilkudziesięciu tysiącach żołnierzy amerykańskich w Polsce, to gdyby było ich 300 tysięcy, wielkiej różnicy by nie było tym bardziej, że i tak i tak podlegaliby oni rozkazom z Waszyngtonu, natomiast rozkazom Warszawy mogłaby podlegać obrona terytorialna – jak w USA gwardia narodowa.

Po drugie jako stan USA musielibyśmy wystąpić z Unii Europejskiej, za co prawdopodobnie nie spotkałyby nas żadne konsekwencje, przynajmniej dopóty, dopóki wojska amerykańskie stacjonują w Niemczech. Nie byłoby łamania sobie głowy, czy przystępować, czy nie przystępować do unii walutowej, bo walutą naszą stałby się dolar. Nie muszę dodawać, że moglibyśmy w jednej chwili plunąć na wszystkie „wyroki" TSUE i nie przejmować się karami, jakie na nas nakłada, bo Ameryka zaraz pokazałaby mu ruski miesiąc. Niewiarygodne, ale dzięki przystąpieniu do USA, moglibyśmy przestać się obawiać nawet o roszczenia żydowskie. Żydzi w stosunku do USA żadnych roszczeń

majątkowych nie wysuwają, kontentując się subwencją rządu amerykańskiego, którą – jak piszą uczeni politologowie w książce „Lobby izraelskie w USA” – zaraz pożyczają temu rządowi na wysoki procent. Wprawdzie Stany Zjednoczone przyjęły ustawę nr 447, ale przecież ani myślą zmieniać własnego prawa w taki sposób, w jaki sugerowały tam Polsce, więc również pod tym względem byłoby bezpiecznie.

Jedyną trudność, jaką widzę, to kwestie językowe, ale to rzecz mniejszej wagi, bo – po pierwsze – coraz więcej młodych ludzi używa cudzoziemskich słów, jak „hejt”, albo inne takie, po drugie – w Stanach Zjednoczonych też nie wszyscy mówią po angielsku, nawet przeciwnie – coraz więcej mieszkańców USA mówi językiem hiszpańskim i na przykład nawet na lotnisku w Chicago już kilka lat temu zauważyłem napisy w obydwu językach, chociaż przedtem były tylko po angielsku. No to dlaczego w naszym stanie język polski nie miałby być dominujący – oczywiście obok urzędowego angielskiego? Jak widzimy, chyba będziemy musieli zrewidować nasze dotychczasowe spojrzenie na to, co realne i to, co nierealne, bo ewentualny akces do USA jest chyba bardziej prawdopodobny, a przede wszystkim – bardziej realistyczny – niż „postjagiellońskie mrzonki” starzejącego się Naczelnika Państwa.

Stanisław Michalkiewicz

Twarze Kijowa: reżyser i aktor

Rosja jest na wykończeniu. Białoruś przystąpi do wojny. Rosjanie gwałcą dzieci. Ludzkie zwłoki zaminowywane są przez rosyjskich żołnierzy. Pszczoły atakują rosyjskich agresorów. Rosja wkrótce zawrze pokój na warunkach Kijowa. Pokój tuż-tuż, a może jednak trochę później.

Tysiącami, często wzajemnie sprzecznych komunikatów dzieli się z Ukrainą i światem **Aleksiej Arestowicz** (na zdjęciu), doradca **Wołodymyra Zełeńskiego**, wyrastający na czołowego reżysera propagandy władz w Kijowie. Media polskie każdą podawaną przez niego informację prezentują z nabożną powagą, niczym objawioną prawdę. Kim jest reżyser i dlaczego odnosi dziś manipulacyjny sukces?

Aktor

Urodził się 3 sierpnia 1975 roku w niewielkiej gruzińskiej miejscowości Dedoplis Tskaro. W jego oficjalnej biografii mowa jest o tym, że nie jest etnicznym Ukraińcem. Raczej dzieckiem wielkich przestrzeni i zmieszanych narodowości Związku Radzieckiego – w połowie Białorusinem, w połowie Polakiem. Wiadomo, że jego ojciec był wojskowym, oficerem armii radzieckiej. Po latach jego rodzina opuściła Gruzję i przeprowadziła się na Ukrainę. To tam Aleksiej Arestowicz ukończył liceum nr 178 w Kijowie, a następnie zdał egzaminy wstępne na biologię na stołecznym Uniwersytecie Narodowym im. Tarasa Szewczenki.

Wolał jednak zająć się innego rodzaju działalnością, bliższą duszy artysty – improwizatora. Przerwał studia. W 1992 roku zaczął występować jako aktor w kijowskim teatrze „Czarny Kwadrat” (ostatni raz na jego deskach wystąpił w 2020 roku).

Szpieg

Arestowicz interesował się jednak nie tylko aktorstwem. Pociągała go kariera wojskowa, a ściślej wywiadowcza. To dlatego podjął studia w Odesskim Instytucie Wojsk Lądowych, który ukończył z wykształceniem tłumacza wojskowego z języka angielskiego. Tłumacze w wojsku to, rzecz jasna, zazwyczaj funkcjonariusze armijnego wywiadu lub kontrwywiadu.

W 1999 roku (za czasów prezydentury **Leonida Kuczmy)** zaczął służbę jako oficer Głównego Zarządu Wywiadu Sił Zbrojnych Ukrainy. Szefem wojskowego wywiadu był wówczas **gen. Igor Smieszko**, w latach 2003-2005 stojący na czele Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, następnie doradca prezydenta Petra Poroszenki i kandydat w wyborach prezydenckich oraz w wyborach mera Kijowa. Smieszko to, nawiasem mówiąc, dość ciekawy przykład przenikania się świata polityki, biznesu i służb specjalnych nad Dnieprem.

Arestowicz odszedł z wywiadu wojskowego w 2005 roku. Motywy tej decyzji przedstawiał w późniejszych wywiadach. „Służyłem w Departamencie Badań Strategicznych Ministerstwa Obrony. Przygotowywane przez nas raporty trafiały bezpośrednio na biurko prezydenta, premiera, ministra obrony, przewodniczącego Rady Najwyższej itd. Sytuacja w kraju zmieniła się po ‘pomarańczowej rewolucji’. Nonsensem jest sytuacja, w której byli kierownicy cukrowni zaczynają wydawać rozkazy i pouczać czynnych oficerów, jak mają pełnić swą służbę, o czym kiedyś powiedziałem wprost dowództwu. W odpowiedzi usłyszałem: – Dokąd ty niby pójdziesz? Będziesz służył dalej. Następnego dnia nie przyszedłem do pracy i po długich wahaniach postanowiłem w końcu odejść” – wspominał w jednym z wywiadów ten okres.

Polityk – happener

Po odejściu z służby wywiadu Arestowicz rzucił się w chaotyczny wir ukraińskiej polityki. Z jakichś względów (być

może nieporozumień z przełożonymi w wojsku) zajął stanowisko jednoznacznie krytyczne wobec kijowskiego Majdanu 2004 roku, czyli tzw. pomarańczowej rewolucji. I przyłączył się do kierowanej przez **Dmytro Korczyńskiego** partii Bractwo. Ideologicznie ugrupowanie to określane bywa mianem nacjonalistyczno-anarchistycznego, choć używane przez nie barwy i symbolika nawiązują wprost do obozu czarno-czerwonego. Sam jego lider i założyciel znany był wcześniej przede wszystkim z tego, że brał udział w czeczeńskiej wojnie domowej przeciwko Moskwie, a także w wojnie w Abchazji – przeciwko niepodległościowcom abchaskim, po stronie Gruzji.

Był też działaczem Ukraińskiego Zgromadzenia Narodowego – Ukraińskiej Samoobrony Ludowej (UNA-UNSO), ugrupowania jednoznacznie neobanderowskiego, we władzach którego zasiadał syn Romana Szuchewycza, Jurij Szuchewycz. Korczyński nie odniósł większych sukcesów w polityce, w przeciwieństwie do wielu innych skrajnych nacjonalistów. Nadal obecny był jednak w mediach ukraińskich. W 2016 roku tak mówił o Polsce: „Obecnie w kraju tym rozwija się polski nacjonalizm i dzieje się to kosztem Ukraińców. Rosną tam żądania historyczne i terytorialne pod naszym adresem… Czyli będziemy w stanie wojny bądź przygotowań do niej przez najbliższe sto lat, to pewne”.

Korczyński, mimo braku politycznego znaczenia, rozkręcił całkiem niezły interes w poddanej skrajnej komercjalizacji polityce ukraińskiej. Jego ludzi wynająć mógł praktycznie każdy i w dowolnym celu, organizując jakiś protest. Oczywiście, nie bezpłatnie. W 2005 u jego boku staje Arestowicz, który wkrótce został wiceprzewodniczącym Bractwa. W 2009 roku to właśnie on kierował anarchistyczną akcją protestów partii pod hasłem „Precz ze wszystkimi!”. Jednocześnie, wraz z Korczyńskim, zaczyna ogłaszać prace nad planami obrony Krymu przed potencjalną rosyjską agresją.

Ich relacje z Moskwą są wszakże dość złożone. W 2005 roku Arestowicz, krytyczny wobec pomarańczowej rewolucji, jeździ na spotkania Ruchu Eurazjatyckiego **Aleksandra Dugina** do Moskwy i

tam razem z Korczyńskim wzywają do opracowania wspólnej, skutecznej taktyki przeciwko kolorowym rewolucjom na przestrzeni postradzieckiej. Do dziś niektórzy oponenci podejrzewają go w związku z tym o „agenturalne” powiązania z Kremlem, choć – biorąc pod uwagę faktyczną pozycję Dugina – jest to nieprawdopodobne.

Ostatnim akordem związku politycznego Arestowicza z Korczyńskim i jego Bractwem jest protekcja, jakiej udzielił mu ten ostatni w znalezieniu pracy. W 2009 roku zostaje zastępcą szefa administracji rejonu przymorskiego w Odessie. Merem tego miasta jest wówczas znajomy Korczyńskiego, **Eduard Gurwic**, antykomunistyczny polityk i biznesmen żydowskiego pochodzenia, który jeszcze w 1999 roku zasłynął przemianowaniem jednej z odesskich ulic z imienia pisarza **Aleksandra Gribojedowa** na ultranacjonalistę Szuchewycza. Arestowicz po kilku miesiącach odchodzi z pracy w Odessie. I znika na pewien czas z przestrzeni publicznej.

Psycholog

W międzyczasie obecny doradca Zełeńskiego kończy dość osobliwy kurs psychologiczny prowadzony przez rosyjskiego guru Aleksandra Kamieńskiego (pseudonim **Awessalom Podwodnyj)**. Kamieński uprawia egzotyczną syntezę psychologii, praktyk ezoterycznych zainspirowanych nurtem New Age i metod terapeutycznych psychoanalizy. Arestowicz koncentruje się podczas nauki przede wszystkim na technikach oddziaływania i manipulowania.

Pozwoliło mu to na otwarcie własnej działalności tzw. coacha i doradztwa psychologicznego. Zaczyna rozwijać prywatną działalność w tej sferze, jednak wciąż najwyraźniej posiadane umiejętności chce wykorzystywać nie w biznesie, lecz raczej w wojsku, służbach i polityce.

Ekspert i „antyterrorysta”

W 2014 roku, po rozpoczęciu wojny domowej na Donbasie,

Arestowicz rozkręca swoją aktywność komentatorską w mediach społecznościowych. Zaczyna być zapraszany w roli eksperta przez kolejne ukraińskie media tradycyjne. Próbuje prognozować scenariusze dalszego przebiegu konfliktu. Warto jednak zwrócić uwagę, że wszelkie prognozy formułuje w taki sposób, by można było na pierwszy rzut oka pozytywnie zweryfikować ich prawdziwość. W istocie są to zazwyczaj przewidywania bardzo mgliste lub wielowariantowe. To jednak część promocji własnego wizerunku, której Arestowicz z powodzeniem zaczyna się oddawać.

Podobnym elementem tego rodzaju była zapewne podjęta przez niego decyzja o udziale w charakterze żołnierza kontraktowego w **Operacji Antyterrorystycznej (ATO) przeciwko mieszkańcom Donbasu**. Obecność tą wykorzystuje na dwa sposoby. Po pierwsze, zaczyna prezentować się coraz powszechniej jako wybitny ekspert i analityk ds. militarnych (obecność w strefie konfliktu zbrojnego ma uwiarygodniać jego status). Po drugie, tworzy legendę na temat własnej obecności w strefie konfliktu; opowiadając m.in. o tym, że 33 razy przekraczał linię frontu. Kłopot w tym, że nie stacjonował na tej linii, lecz w położonym daleko od niej Kramatorsku.

W efekcie setki tysięcy subskrybentów zaczyna oglądać profil Arestowicza w Facebooku, filmy na jego kanale YouTube. W pewnym momencie, w charakterystyczny dla siebie, mglisty sposób miał nawet przewidzieć wybuch wojny rosyjsko-ukraińskiej. Nadal prowadzi też szkolenia z zakresu psychologii, w czym pomaga mu coraz większa rozpoznawalność medialna.

Twarz Zełeńskiego

W 2019 roku i w pierwszej połowie 2020 roku w niewybrednych słowach atakuje niedawno wybranego na urząd prezydenta Zełeńskiego. Jesienią 2020 roku zaczyna chwalić prezydenta, po czym wkrótce zostaje rzecznikiem delegacji ukraińskiej w Trójstronnej Grupie Kontaktowej ds. porozumień mińskich.

Pozwala mu to zyskać rozpoznawalność na szczeblu międzynarodowym; to właśnie on przedstawia stanowisko Kijowa w omawianych przez wszystkie media negocjacjach w sprawie Donbasu.

Coraz częściej podkreśla, że o realizacji żadnych porozumień nie może być mowy. **W jednym z wywiadów w 2021 roku mówi wprost, że na Donbasie „wojna ukraińsko-rosyjska" trwać będzie jeszcze bardzo długo**. Gdy zostaje dodatkowo doradcą szefa Biura Prezydenta Andrieja Jermaka, we wrześniu 2021 roku mówi wprost: reintegracja Donbasu z Ukrainą to plan, który realizowany będzie w ciągu najbliższych 25 lat, a jakiekolwiek rozmowy Kijowa z Donieckiem i Ługańskiem nie mają sensu.

Zawodowy propagandzista

Podczas służby na Donbasie Arestowicz trenuje stosowanie instrumentów propagandy wojennej. W 2015 roku, gdy doszło do okrążenia jednostek ukraińskich przez separatystów pod Debalcewem, utrzymuje – wbrew faktom i liczbom – że straty Kijowa są nieznaczne. W 2017 roku stwierdza wprost w jednym z wywiadów: „Drodzy przyjaciele! Sporo was oszukiwałem od wiosny 2014 roku. Fałszywe informacje przeze mnie przekazywane dotyczyły dwóch podstawowych obszarów: – stworzenia patriotycznej iluzji, w ramach której 'wszyscy jesteśmy zjednoczeni, szanujemy się i jesteśmy bohaterami', zaś przed Ukrainą jest świetlana przyszłość; – czarnej propagandy przeciwko Federacji Rosyjskiej. To były działania czysto propagandowe, powołane do życia w obliczu militarnej agresji Rosji przeciwko Ukrainie. Po trzech latach doszedłem do wniosku, że propaganda jest częścią wojny, możliwą i nawet konieczną (niestety) na zasadach anonimowych czyli pod warunkiem, że nie podpisujemy się pod nią własnym nazwiskiem".

Aleksiej Arestowicz jest wizerunkowym magikiem wykonującym swoje sztuczki na zlecenie i dla własnej satysfakcji. Pomimo partyjnej przeszłości i agresywnych, teatralnych wypowiedzi, nie jest w najmniejszym stopniu ukraińskim nacjonalistą. ***„Nie***

jestem patriotą. Nie tylko Ukrainy, ale żadnego państwa narodowego. Jestem patriotą 'projektu nr 5', projektu zjednoczonej Ziemi w duchu Pierre'a Teilharda de Chardina i Władimira Wiernadskiego. Spośród postaci nam współczesnych, najbliżej mi do Elona Muska, człowieka, który najbardziej konsekwentnie i aktywnie wciela w życie projekt przebudowy systemu społecznego 'Ludzkość' w wymiarze poliglobalnym… Na kwestie odbudowy historycznej pamięci, sprawiedliwości, walk, zwycięstw i klęsk, powstawania narodów, języków, dziejowych ran spoglądam niczym żołnierz na wesz. Pluję na to wszystko z wysokiej wieży noosferyzmu. Mogę nawet uznać ich znaczenie, ale dla mnie są po prostu nieinteresujące. Właśnie dlatego mówię w języku, w którym jest mi wygodniej. Jeśli jesteście patriotami, szanuję to. Ale bardzo nie podoba mi się ta odmiana patriotyzmu, która nas wszystkich uwiodła. Jeśli w jego imię mamy niektóre rzeczy przemilczeć i wywierać na kogoś presję, to ja w takim patriotyzmie nie biorę udziału" – mówił w wywiadzie. Na swoim kanale YouTube podkreślał, że będzie się posługiwał językiem rosyjskim z dwóch względów: dlatego, że to język, którym porozumiewał się w domu z rodziną i dlatego, że chce uprawiać skuteczną propagandę skierowaną do większej liczby ludzi.

Co ciekawe, Arestowicz uczciwie przyznał – mówiąc to w kontekście wycofania się Stanów Zjednoczonych z Afganistanu – że wprowadzanie jednakowych demokratycznych, uniwersalnych standardów w różnych krajach się nie sprawdza. Także na Ukrainie. Jeszcze przed wybuchem wojny proponował natomiast zmianę nazwy Ukrainy na Ukrainę-Ruś. Wprawdzie później stwierdził, że był to żart, jednak stanowiło to z pewnością ambitną próbę wrzucenia do debaty publicznej kwestii rywalizacji o dziedzictwo Rusi Kijowskiej.

Wizerunkowy majstersztyk

Aresowicz, który zawsze marzył o wpływaniu na ludzi, dziś wywiera na nich wpływ w skali globalnej. Formułowane przez niego narracje i dezinformacje kolportowane są nie tylko na

Ukrainie, ale na całym tzw. Zachodzie, a nawet częściowo na obszarze postradzieckim. **Niewątpliwie jest człowiekiem obdarzonym wielką kreatywnością i talentem manipulacyjnym.**

Naprzeciw niego do rywalizacji staje umundurowany **gen. Igor Konaszenkow**, rzecznik prasowy rosyjskiego Ministerstwa Obrony. Jego suche, sztywno wypowiadane komunikaty nie rozbudzają niczyjej wyobraźni. **Konaszenkow pochodzi z poprzedniej epoki, z ery sprzed mediów społecznościowych**. W Rosji coraz częściej problem się zauważa, ale jest już za późno na odzyskanie inicjatywy na froncie zmagań o narzucenie swojej narracji.

Arestowicz z pewnością nie jest samotnym geniuszem. **Wspomagają go najlepsze firmy z sektora PR ze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii**. To jednak on odgrywa rolę jednej z twarzy Kijowa. Jest aktorem i reżyserem, wydaje się, że dużo bardziej samodzielnym od swego formalnego pryncypała Zełeńskiego. Na razie, również w Polsce, jego wpływ na opinię publiczną jest znacznie większy od wpływu miejscowych polityków. Czy kiedyś, podobnie jak zrobił to w 2017 roku, opowie do jakich kłamstw się uciekał i ujawni techniki działania bardzo sprawnej ukraińskiej propagandy wojennej?

Mateusz Piskorski

Przestańmy myśleć, bo… jest wojna!

Od początku widzimy wyparcie faktów i obiektywnych relacji przez propagandę. Próbuje się nami manipulować dla uzyskania określonej reakcji. Obie strony, ukraińska i rosyjska, chcą na nas wpłynąć. Zatem, powinniśmy przestać myśleć? Zachwyciło mnie wczorajsze zdjęcie na Niezalezna.pl…

Pod kołem ostrzelanego samochodu widzimy dziecięcą szmacianą zabawkę. Ujęcie godne reportera wojennego. Aż postanowiłem sprawdzić, który z dzielnych fotoreporterów uwiecznił tę scenkę. Okazało się, że pochodzi z FB Ministerstwa Obrony Ukrainy. Kiedyś nazywało się to fotomontaż.

Zerknąłem okiem na inny tekst na tym samym portalu, a tam: „Przerażająca skala rosyjskiego barbarzyństwa. Żołdacy Putina zabili 1417 cywilów".

Dla porządku przypomnę, że w wojnie na Ukrainie zginęło już kilkanaście tysięcy żołnierzy rosyjskich i kilka tysięcy ukraińskich. Za chwilę zabraknie nam słów. Jeżeli przerażająca skala barbarzyństwa na wojnie to 1417 zabitych cywilów, to jak nazwiemy miliony zamordowanych w czasie II wojny światowej? Jak nazwiemy holocaust? Jak nazwiemy masowe zbrodnie, które kiedyś nastąpią?

Zabraknie nam odpowiednich słów i pozostaną tylko wyzwiska i wulgaryzmy – co już się na masową skalę dzieje. I przekleństwa wykrzykiwane przez nominalnych chrześcijan. Najbardziej przerażające (dla mnie) jest wyparcie faktów i obiektywnych relacji przez prymitywną propagandę. Bo przypomnę, każda propaganda jest próbą manipulacji na nas. Obie strony, ukraińska i rosyjska, posługują się nią od początku tej wojny. Po to, żeby nas oszukać. Uzyskać określoną reakcję.

Wiem kto w interesie Polski powinien zwyciężyć. Ukraina powinna zwyciężyć, a Rosja przegrać. Ale nie powinna przegrać prawda, bo owoce zwycięstwa będą gorzkie.

Prawda jest na tyle wystarczająca, co za chwilę udokumentuje Bucza(?), że epatowanie fałszem i dezinformacją niesie skutek odwrotny od zamierzonego. Coraz więcej Polaków, chcących jeszcze posługiwać się własnym rozumem (pomimo ostatnich dwóch lat tresury), zastanawia się, co w tej wojnie jest nie tak.

A jeżeli 90% medialnych faktów to pięknie opakowane kłamstwo, jak ta dziecięca zabawka na zdjęciu, albo minione dwa lata?

Autorstwo: Jan A. Kowalski
Źródło: ABCNiepodleglosc.pl